

JÓZEF CZECHOWICZ

POEMAT
O MIEŚCIE
LUBLINIE



Wydano z okazji

10. spotkania

„Czytanie Czechowicza

— *Poemat o mieście Lublinie*“

w Ośrodku

„Brama Grodzka

— Teatr NN“



2010

Poemat o mieście Lublinie

10 10 10 10 10 10

10 10 10 ^{ex}
 ^{libris} 10 10 10

10 10 10 10

10 10 10 10 10

10 10 10

10

czytanie

Poematu

o mieście Lublinie

Józefa Czechowicza

w Ośrodku Brama Grodzka „Teatr NN”

^{czytających}
^{poemat}



JÓZEF CZECHOWICZ

POEMAT
O MIEŚCIE
LUBLINIE



107 urodziny Poety

15 marca 1903 — 15 marca 2010

OŚRODEK

„BRAMA GRODZKA — TEATR NN”

WOJEWÓDZKI OŚRODEK KULTURY

Na wieży furgotał blaszany kogucik
na drugiej — zegar nucił.
Mur fal i chmur popękał
w złote okienka:
gwiazdy, lampy.

Lublin nad łąką przysiadł.
Sam był —
i cisza.

Dokoła
pagórów koła,
dymiąca czarnoziemiu połać.

Mgły nad sadami czarnemi.
Znad łąki mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.

We mgle nie słycać kroków, które zbliżają
wędrowca ku miastu rodzinnemu. Ścieżyny pol-
ne pęcznieją, nabrzmiewają w drogi, a te znów
rozlewają się szeroko wśród falistych pól.
Szosa się tęczy. Zrywający się wiatr szumi
w kłosach. Północ niedaleko, a jeszcze ktoś
wodę ze studni ciągnie. Żuraw słycać. Jesz-
cze wiejsko tu. Jeszcze wiejsko. Księżyc goni
wśród chmur. Mgła rzednie. Wędrowcze, oto
już kręte uliczki starego przedmieścia, Wie-
niawy. Dawniej, gdy winnice opinały te wzgó-
rza, nazywano je: Winiawa. Idąc dziś mię-
dzy cieniami ruder i zapodłych w ziemię do-
mostw myślisz, wędrowcze, o tym tylko, że
miasto kochane już cię ogarnia i tuli.

Ciemniej.

Pagóry, zagaje, podłęża
nie sypią się wiankami na oczy.

Ciemniej.

Z nieb czeluści otwartej na ścieżaj
biegną ciche niedźwiedzie nocy.

Nad ulicami, rzędem,
czarne, kosmate,
będą się tarzać po domach do chwili,
gdy księżyc wybuchnie zza chmur, jak krater.
Świat ku światłu przechyli.

Blachy dachów dudnią bębniem.
W dół, w górę, nierówno się kładzie
perłowy lampas:
w prostopadłej gromadzie
przedmieścia lampy.

Przeciw niedźwiedziom to mało!
Gną się, kucają domki, zajazdy, bożnice
pod mroku cichego łapą.
Ach! Trzasnęłyby niskie pułapy!...
...ale już zajaśniało.
Pejzaż: Wieniawa z księżycem.

Wędrowcze, masz towarzysza. Księżyc w pełni,
srebrny, daleki pójdzie odtąd za twoimi kro-
kami. Powiedzie cię do miasta umarłych, gdzie
twoi bliscy leżą pod głazami i darnią. Osreb-
rzy ci stare kamienice w rynku, widma ukaże
w kościele na Zamku, wreszcie znowu cię w po-
la wywiedzie przez ulicę Szeroką, przez Ka-
linowszczyznę i Czwartek.

To jest księżyc, towarzyszu. Niech sobie poeci
mówią: tarcza, gołąb srebrny, korab nadziem-
ski. Dla ciebie to jest po prostu księżyc. Może
nawet księżyc z Twardowskim, może ze Świę-
tym Jerzym. Bo przecież świecił taki sam nad
ulicą, gdy matka opowiadała ośmioletniemu:
Święty Jerzy tam ze smokiem walczy. Bo prze-
cież to tu było w tym mieście, do którego wra-
casz, jak syn marnotrawny.

Wiatr, znowu wiatr się podrywa. Obaj, on i księ-
życ, ku cmentarzowi idą. Do ojców. A wiatr
głosy jakieś przynosi od wieżyc miasta.

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: pół — noc, pół — noc...

Dołem

place konopne, lniane,
ulice — długie mroku czółna,
lamp łańcuchami spętane.

U krańca Lublina czworokąt czarny
szumem poemat wiatrów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje
obsiadły wyspę umarłych.

Aleje głuche mamrocą nocą, jak rynny.
Blask błądy gwiazdy samotnej opiera się
o cień,

o bluszcz, żałobny barwinek,
paprocie.

Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stały na piersiach trumien.

Pieje kogut.

Napisy z bramy cmentarza w pamięci za-
karbuj, zatnij: „Oto teraz w prochu zasną —
z prochu wstanę w dzień ostatni”...

Napojony smutkiem, zamyślony i o świecie niewiedzący idzie wędrowiec miastem. A ono głucho. W głównej ulicy tu i ówdzie rozmowa spóźnionych przechodniów, tu i ówdzie brama zamykana trzaśnie.

Kroki jego spadają na kamienny bruk, mechaniczne, nieważne. A przecież idzie wśród dobrze mu znanych murów. W blasku latarni wzrok zadumanego mógłby odczytywać napisy na sklepach. W tym, narożnym, kupiono mu trąbkę dziecinna, gdy był maleńki. Przy tamtym żegnał się z matką i siostrą, wyruszając na front. A oto i dom, w którym przeżył chwile najłagodniejsze. Na drugim piętrze okno jest otwarte. Ktoś na pianinie gra.

A teraz ciemność. To nie księżyc skrył się w obłokach. To ogarnął cię, wędrowcze, mrok Bramy Krakowskiej. Zbudź się, zbudź, patrz dokoła! Za chwilę wejdiesz na rynek.

Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę —
jak perła
upadnie w rynku miskę —
miska zabrzęknie.

W północy,
po kątach nisz głębokich
po bram futrynach i okien
załamany,
bez mocy,
cień fiołkowy uklęknie.

Gwiazdy żółte, które lipcowy żar ściągł,
lecą — kurzawą — lecą,
firmament w złote smugi marszczą,
za Trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem.

Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół.
On się srebrliwie rozptywa
w rosie porannej, w zapachu ziół.
Jak pięknie!

No, do ranka jeszcze daleko, choć w lipcu
świty są tak wczesne. Możesz jeszcze długo
tu stać i chłonąć nocne uroki.

Rynek. Tu dom Acerna, tu kamienica Sobie-
skich. A ot i narożnik ze lwami z kamienia.
Tu chodziłeś do szkoły. Pamiętasz, bo jakże
by nie pamiętać! Toż to tu właśnie, a nie gdzie
indziej przeżyłeś pierwszą chwilę poezji, wie-
czorem słuchając starego miasta.

Zamień wspomnienie w wiersz. Same pojęcia:
wspomnienie i poezja są sobie bardzo bliskie.

Oto wiersz:

Niebo odmienia się, choć wieczór nie ścichł,
wiatr jeszcze szepce, nim uśnie.

Niebo fioletem szeleści.

Wiatr — już nie wiatr — uśmiech.

Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru,
dziewczęta chwalą Marię.

Z Archidiakońskiej do wtóru
samotnych skrzypiec arie.

Domów muzyczne milczenie
złączone z tęczy łukiem
na czoło kościoła promieniem
opada, jak pukiel.

A teraz ktoś ciszę napiął,
bije w nią pięścią ze spiżu.

Dzwon wieczorny
mocą metalu kapiąc
zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:

raz — i dwa — i trzy — — —

Wędrowcze, nic tylko księżyc i domy, wiatr
i kościoły, gwiazdy i doły ulic. Idziesz, idziesz,
jeszcze jedną mijasz bramę, pnieś się w górę
zaułkami podzamcza, stajesz przed niskim
łukiem. Łuk jest w kratkach, a nad nim błyszczą
liktorskie różgi i topory. Minąłeś kraty, dzie-
dzińce zamkowe, przeszedłeś u stóp baszty
księcia Daniela.

Jesteś w zamkowej kaplicy. Klękniij. Skarbiec
to i serce Lublina, miasta Jagiellońskiego.

W kościoła oknie na płask
błysnął wodą stojącą księżycą blask.

W ciemnym wnętrzu jest smuga białawego
szkliwa.

Nie wiadomo jak taka barwa się nazywa.
Chodzi, chodzi w ciemnościach
ruchomy światła korytarz,
jakby noc palcem srebrnym wodziła niebieska
po gotyckich łuków smukłości,
po freskach.

Dziecko tak palcem wodzi po książce, gdy
czyta...

Tu skały malowane są tronem Dziewicy,
gdzie indziej zaś podwójny Chrystus
ciemnolicy
w dwa kielichy odmierza wino.

Święci z pustelni, Mario surowa,
kwiaty kapiące z wnęk, odrzwi, nisz,
archaniele pancerzem jasny — o czym
w promieniu śnisz?
Jakie apokalipsy śnią się smokom, orłom?

Żadna trąba nie woła.

Księżyc palce swe cofa w mroku kościoła.

Za szybką migoce Orion.

Były czary i dziwy. Minęły, zrobiło się codziennie, powszednio. Tylko ten księżyc...

Chyba czas już na ciebie. Trzeba zejść ulicą Zamkową w mrok zaułków, potem wynurzyć się z ciemności na ulicy Szerokiej, która naprawdę jest szeroka. A stąd, przez uśpione przedmieście, nogi same poniosą cię, nocny wędrowcze, w daleki świat. Porzucisz mury dobrze ci znane z czasów, gdyś biegał tu za drewnianym kółeczkiem, z czasów, gdy zachwyconymi oczyma patrzyłeś na tłumne procesje Bożego Ciała, gdy każda noc wigilijna była bardziej srebrna niż w bajkach.

A teraz?

Ludzi tamtych już nie ma, ni czasu tamtego. Ale, wędrowcze, cień towarzyszy ci, jak zawsze i noc jest ulana ze srebra poświaty. Opuśćże to miasto z pogodą w sercu, tak, jak je witałeś.

Chorągiewka na dachu śpiewa,
bladej gwiazdy wypęła pająk.
Latarnie w czarnych drzewach,
kołuszących się mrugają.

Ciepła woń płynie z piekarń,
a cisza z zamkniętych bram.
Gdyby pies na dalekim przedmieściu nie
szczekał,
byłbyś — jak nigdy — sam.

Sam, może jeszcze z rzeczułką,
której nie słyszeć,
choć w taką jasną noc z lazuru
i ona — niebios kochanka —
od zmierzchu aż do ranka
na pewno wzdycha
wśród murów...

Dobranoc miasto stare, dobranoc. Drogi białe
wychodzą stąd na północ, zwężają się w ście-
żyny, ścieżyny rozlewają się w drobne strużki
steczek. Wędrowiec jest już tylko ciemnym
punkcikiem na jednej z nich.
Zniknął za wzgórzem.
Dobranoc, miasto,
dobranoc...

Składał ręcznie
pismem paneuropa i nicolas cochin
Tadeusz Budynkiewicz

Drukował na maszynie typograficznej
F. M. Weiler z 1903 roku
Paweł Głodzik

Zaprojektował i zredagował technicznie
Wiesław Kaczkowski

Korekta
Anna Kistelska

ISBN 978-83-89464-31-6

Wydawcy

Ośrodek Brama Grodzka Teatr NN

Oficyna Wydawnicza
Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie

Druk
Oficyna Wydawnicza WOK

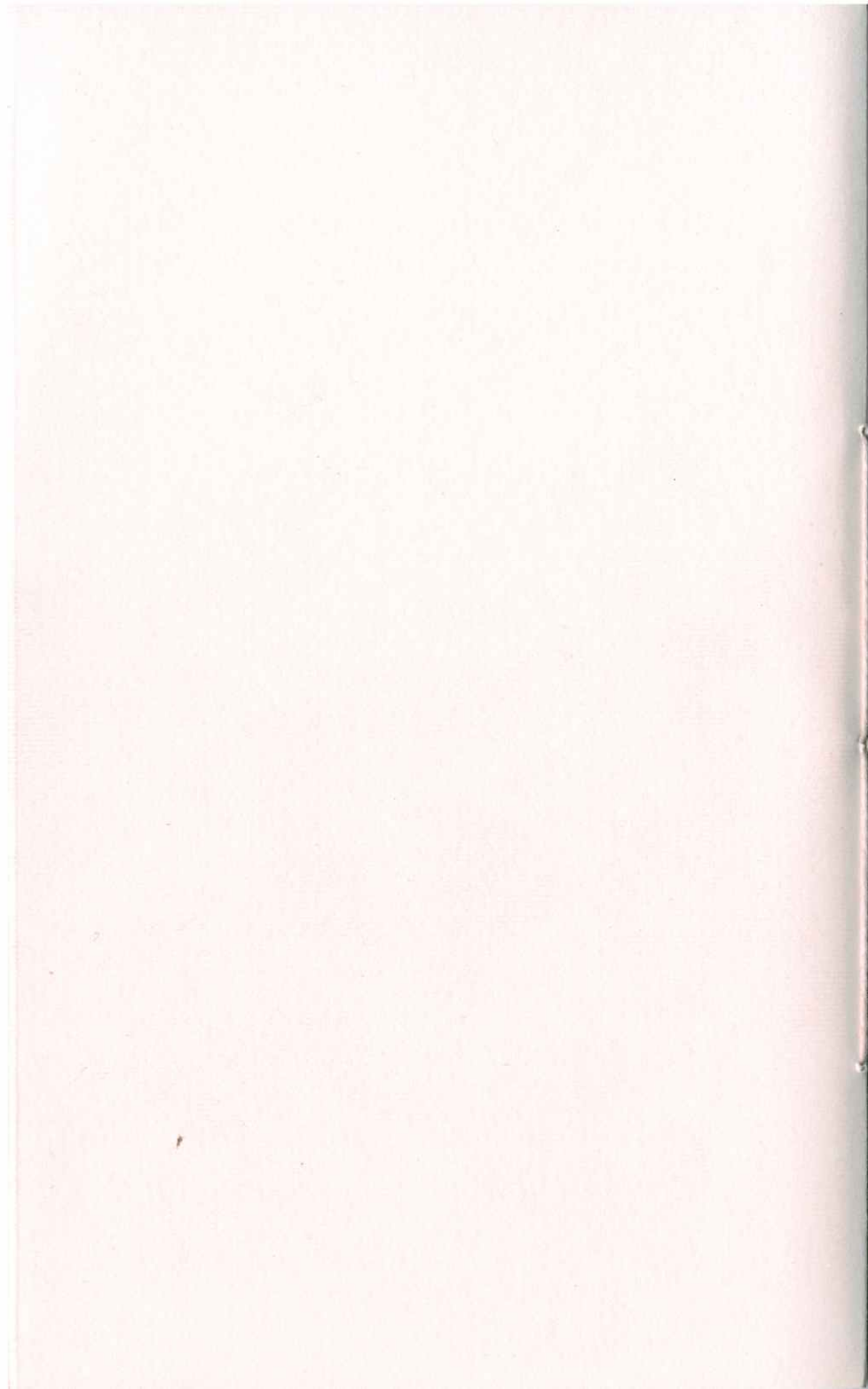
Dla uczczenia
107. rocznicy urodzin
Józefa Czechowicza
wydrukowano 107 tomików
ręcznie numerowanych

Numer



Wydawnictwo
Zakład
Książki
i
Pisma
Wydawnictwa
Książki
i
Pisma
Wydawnictwa





10 10 10 10 10 10

10 10 10 *ex* 10 10 10
libris

10 10 10 10

10 10 10 10 10

10 10 10

10

czytanie

Poematu

o mieście Lublinie

Józefa Czechowicza

w Ośrodku Brama Grodzka „Teatr NN”

czytających
poemat



ośrodek ————— 107
brama ——— urodziny
grodzka ————— józefa
teatr nn — czechowicza

ex libris

czytających

poemat o mieście lublinie

